

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK POWIĘSCIOWY - WYCHODZI 2 RAZY W TYGODNIU

SIEROTY

POWIEŚĆ Z NIEDAWNYCH CZASÓW

17

26. Pożegnanie.

Baron Fragstein napisał niedługo list do ks. proboszcza w sprawie Józefa.

List jego brzmiał tak:

Przeacny Księżu Proboszczu!

Jeszcze wprawdzie nie zdołałem załatwić moich spraw na Węgrzech, lecz już mam pewność, iż uda mi się tamtejsze dobra moje sprzedać. Prze prowadzę się do Prus i już mam starania o tamtejsze obywatelstwo. Tem łatwiej spodziewam się je otrzymać, ponieważ rodzina moja pochodzi właściwie z Prus, a ojciec dopiero został obywatelem węgierskim.

Zona zgadza się na mój plan co do Józefka. Mąka i cieszy się bardzo z takiego towarzysza dla naszego syna. Obiecujemy sobie wiele po nim.

Obowiązuję się zatem utrzymać go na własny koszt aż do ukończenia szkół gimnazjalnych. Razem z synem moim będzie się uczył w domu, a co rok pojedą obaj chłopcy do gimnazjum, aby zdać egzamin. W ten sposób ukończą szkoły. Potem niech każdy z nich chwyci się zawodu który mu się będzie podobał.

Jeżeli matka Józefka na to przystanie, niech mi chłopca przyśle. W ciągu każdego roku będzie mógł Józef odwiedzić ją dwa razy i przebyć u niej po kilka tygodni.

Oczekuję łaskawej odpowiedzi, czcigodny Księżu Proboszczu, a tym czasem pozostaję z wysokim szacunkiem

Fryderyk baron Fragstein.

— Bogu dzięki za to! westchnął ks. proboszcz przeczytawszy ten list.

Potem udał się do Makowej, która jeszcze w klasztorze mieszkała i powiedział jej o wszystkim.

Radość wdawy nie miała granic. Widziała ona w tem wszystkie cudowną opiekę Opatrzności Boskiej i dziękowała Bogu za tak hojne łaski. Po chwilach smutku nadeszły chwile radości, po łzach nastąpiło szczęście. Boć zaiste szczęściem to było, dla Józefa, co go spotykało. Gdyby nie pan baron, trudno było myśleć o posyłaniu go do szkół.

Równocześnie oznajmił też Franek o tem, że pan „obermonter“ Lis ofiarował mu pożyczkę na szkoły, Panu Glasowi nie powiedział, że od Lisa ma zapomogę, albowiem Lis sobie tego nie życzył. Fabrykant skrzywił się wprawdzie, usłyszawszy że Franek sam sobie da radę, lecz przypuszczał, że ksiądz proboszcz Frankowi dopomógł i dla tego nic już o tem nie mówił. Wyraził tylko nadzieję, że Franek po ukończeniu szkoły wróci do niego. Obiecywał dobrze mu za to płacić.

Tak tedy zbliżał się czas, w którym obaj synowie Makowej mieli odjechać w świat.

Na tę myśl kurczyło się serce matki i lzy cisnęły się do oczu, bo któraż matka nie płacze, gdy jej przychodzi żegnać się z kochanymi dziećmi po raz pierwszy na dłuższy czas. Więc i serce Makowej rozrzewniło się, ale ponieważ to była niewiasta mężna, nie dała poznać posobie, co się w jej wnętrzu działo.

Tak się złożyło, że obaj synowie mieli odjechać razem na Nowy Rok. Święta Bożego Narodzenia przeżyła wdowa razem z dziećmi. Było im wszystkim dobrze, tak dobrze prawie, jak przed laty, gdy jeszcze żył Mak.

W drugie święto zrobiło się na dworze ciepło choć śniegi zalegały ziemię.

Po niesporach rzekła matka:

— Kochane dzieci! Zaprowadzicie mnie dzisiaj do krzyża w lesie, tam, gdzie nasz ojciec śmierć poniósł. Nie wiem, czy się jeszcze wszyscy kiedyś tak zbierzemy, a chciałabym wam niejedno przypomnieć przed pożegnaniem.

Wszyscy udali się do lasu.

Gdy stanęli przy krzyżu, wdowa uklękła i rzekła:

— Klękajcie i wy dzieci moje i pomódlcie się za spój duszy ojca. Może w tej chwili duch jego nad nami się tu unosi.

Skończywszy modlitwę, rzekła wdowa:

— Wy obaj, Franku i Józefie, udacie się w świat. Proszę was i zaklinam, abyście nigdy nie zapomnieli o duszy ojca. Módlcie się za nią.

Ale prócz tego pamiętajcie o tem wszystkim czego ojciec i ja was nauczyliśmy. Pozostańcie zawsze wiernymi Bogu. W świecie natraficie wiele pokus, które was ku sobie wabić będą. Nie pozwólcie się im omamić, a ile razy byście poczuli słabość jaką w sercu, wspomnijcie o krzyżu i Panu Jezusi, na nim rozkrzyżowanym. Niech on będzie dla was słońcem we każdej chwili życia.

Przyrzekacie mi to, moje dzieci?

Franek i Józef, płacząc rzewnie, odpowiedzieli:

— Przyrzekamy, matuchno!

— A o mnie też nie zapominajcie. Widzicie że tu sama zostanę z Jadwisią. Nie zobaczę was długo. Będę za wami tęskniła. Piszcie więc często do mnie, a sprawicie radość sercu matczynemu. W listach donoście mi o wszystkim, jak do tego czasu powiadaliście mi o wszystkim. Będziecie pisali do starej waszej matki?

— Będziemy... odrzekli wśród łkania chłopcy, a i Jadwisia płakała.

— Niech Bóg was błogosławi! zawołała matka, a wznosząc ociemniałe oczy w górę, dodała: — Franciszku, jeżeli duchem widzisz nas tutaj, a Bóg wpuścił cię już do oglądania Swojego oblicza, racz się wstawić u Pana nad Pany, ażeby nasze dzieci nie zginęły we świecie, lecz wyrosły a bogobojnych i **pocziwych ludzi**.

Potem wrócili wszyscy do domu; w duszach ich była rzewność wielka a w sercu miłość błoga.

W domu wdowy panował tego dnia nastrój podniosły i urozysty. Nie tylko było święto w kalendarzu, ale też i w duszach członków tej rodziny. A wszystko to sprawiała matka, wzorowa doskonała matka.

O! bo dobra matka jest jak słońce rodziny, którego ciepło **wszystkich ogrzewa i wszystkich do siebie pociąga!** Przez nic cała rodzina podnosi się lub upada. Ona jest źrenicą rodziny; jak oko bez źrenicy martwe, tak rodzina bez matki niemocna. **Błogosławioną może się nazwać rodzina, mająca dobrą matkę.**

W rodzinie Makowej Józef i Jadwisia jako dzieci jeszcze nie mają serca niczem zbrukanego. Lecz oto Franek już wyrzwał na świat, już się jego oddechem nieco zaraził. A wszakże teraz, w rodzinnym powietrzu dom urodzinnego zapomniał o świecie i o jego ponętach, serca nie nekają myśli ambitne, lecz stał się **jak dziecko niewinne** pełne wewnętrznego zadowolenia i szczęścia. Tak przemożny bywa wpływ domu rodzicielskiego i szczęśliwy, kto jak **najdłużej pod takim wpływem pozostaje.**

Dzień przed wyjazdem udali się obaj chłopcy na probostwo, aby się z księdzem proboszczem pożegnać.

— Jedźcie z Bogiem, rzekł do nich czcigodny kapłan, i wróćcie z Bogiem, choć nie do naszej gminy, to przynajmniej do rodzinnych stron na Śląsk, gdzie nasz lud mieszka. Pamiętajcie o Bogu, o waszej matce i o waszej ojczyźnie, o Śląsku. Nie zapomnicie?

— Nie, odpowiedzieli chłopcy.

— Czekajcie jeszcze, odezwał się ksiądz proboszcz, dam wam na pamiątkę po obrazku.

T, Franku, dostaniesz obrazek Matki Boskiej Piekarskiej, a ty Józefku obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. **Gdziebądź będziecie, zawieście sobie te obrazki nad łóżkiem, a niech wam przypominają, że kto się pod przemożną opiekę Matki Boskiej udaje, nie dozna zawodu.**

Bywajcie zdrowi!

Chłopcy całowali ręce czcigodnemu kapłanowi i ze łzami w oczach dziękowali za opiekę i dobrodziejstwa.

Nazajutrz po rzewnym pożegnaniu się z matką i Jadwisią, odjechali do stacji kolejowych, a stamtąd w świat.

Krótko przed odejściem pociągu nadszedł pan „obermonter“ Lis z córeczką na dworzec.

— Chciałem cię jeszcze raz pożegnać a i moja Bety przyszła zemną.

— Adieu Franz! zawołała panienska i podała mu rękę, wyciągając ją do okna wagonu.

— Adieu!

— Bądźcie zdrowi!

— Do widzenia!

27. Pierwszy dzień w domu pana barona.

Na dworcu czekał powóz pana barona Fragsteina, bo miał przyjechać brat pani baronowej, major. Służący w liberji chodził przy powozie i rozmawiał z woźnicą. Kilku ludzi przyglądało się paradnemu powozowi, lśniące uprząży, boga-

tej liberji i ognistym rumakom. Służący widział te wzroki, pełne podziwu, więc chodził, jak paw nadęty, z góry spoglądając na patrzących. Zdawało mu się, że to są ludzie gorszego gatunku od niego, ponieważ liberji nie noszą.

Wtem pociąg nadjechał i stanął przed gmachem stacji. Podróżni zaczęli wysiadać przed gmachem major w płaszczu wojskowym. Służący podbiegł ku niemu, odebrał z rąk lekką torebkę i kłaniając się nisko, prowadził ku powozowi.

— Pan baron w domu? zapytał major.

— Niema go dotąd, lecz spodziewamy go się lada dzień.

— Ale siostra moja jest?

— Tak pani baronowa w domu.

Gdy zbliżyli się do powozu, pan major wsiadł a służący zatrząsnawszy drzwiczki, chciał wskoczyć na kozieł, gdy woźnica odezwał się półgłosem:

— Gotlieb, a chłopiec?

Służący uderzył się w czoło, mówiąc:

— Byłbym o nim zapomniał. Panie majorze, rzekł, zwracając się do siedzącego w powozie, proszę o chwilę cierpliwości. Trzeba nam zabrać chłopca, który tym pociągiem miał przyjechać.

— Co to za chłopiec?

— Ma się uczyć razem z młodym panem baronem.

Gotlieb podbiegł ku dworcowi i spojrzał dookoła. Przy wejściu do poczekalni stał chłopczyk, ubogo ubrany z drewnianym kuferkiem. Służący domyślił się, że to jest oczekiwany towarzysz dla młodego barona.

— Ależ to **żebrak!** pomyślał idąc ku niemu.

Kto przed chwilą widział tego sługę pańskiego, jak pokornie kłaniał się panu majorowi, ten nie poznałby go teraz. Za im do Józefa doszedł, stał się niejako wyższy, szerszy i grubszy. Pycha dokonała tej zmiany. Stanawszy przed chłopcem miał minę wielkiego pana, **który wyświadcza łaskę biedakowi.**

— Bist du Josef Mak (Czyś ty Józef Mak?) zapytał.

— Ja! odrzekł Józefek.

— Zabierz twoje pudło, mówił dalej po niemiecku Gotlieb i chódź ze mną.

Pan major wyglądał oknem, bo był ciekawy ujrzeć towarzysza dla siostrzeńca swojego. Zobaczywszy małego Józefka, pomyślał:

— Tego mój miły siostrzeniec zawojuje!

— Gdzie my go umieścimy? zapytał Gotlieb, zbliżając się do powozu.

Pan major, widząc przeziębionego chłopca, ulitował się nad nim i otworzywszy drzwiczki powozu, zawołał:

— Siadaj chłopcze tu do mnie; zmieścimy się w powozie. Na kozle byś zmarzył, zresztą tam niema miejsca.

Kuferek włożono na kozieł, a Józef wsiadł do powozu. Nie było to dla niego rzeczą łatwą. Czuł się bardzo onieśmielony i zakłopotany. Nigdy jeszcze jak żyje, nie siedział razem z tak wielkim panem. Bał się go tracić przy wsiadaniu a zbłądził wielce, gdy Gotlieb wsunawszy go do powozu, mimowoli popchnął go na **nogę majora.**

— Proszę o przebaczenie, panie generale, rzekł drżącym głosem i wsuwał się w kącik przestraszonego.

Pan major rozśmiał się i zawołał wesoło: **szony.**

— Jeszcze generałem nie jestem, lecz majorem i tak mnie też nazywaj, mój chłopcze. A ty kto jesteś, **jak się nazywasz?**

— Józef Mak.

— Skąd?

— Z Górnego Śląska.

— Pewnie mały Polak, bo słyszę, że słowami niemieckimi wymawiasz z polskim akcentem. Czy ty Polak?

Jeszcze nigdy w życiu nikt obcy nie stawiał Józefkowi takiego pytania. Tylko ojciec nieboszczyk często mu w domu powtarzał, że jest Polakiem. W szkole natomiast słyszał chłopiec, że jest Prusakiem i nie wolno było inaczej odpowiadać na pytanie inspektora szkolnego. Dzieci w szkole, jak zazwyczaj dzieci, mówiły to, co nauczyły ciele nakazali. Lecz teraz już Józef szkolnikiem nie jest, już nie potrzebuje się obawiać kary szkolnej, powinien wyznać, czym jest.

Ale ten panmajor, przed nim siedzący, jest wojskowym i jest Niemcem. Czy on się na niego nie rozgniewa, gdy powie, że jest Polakiem.

A jeśli się rozgniewa i powie panu baronowi a te nogi z domu wypędzi i uczyć się nie pozwoli, ach serce zabiło biednemu chłopcu i nie wiedział co począć.

A wtem pan major spostrzegłszy jego zakłopotanie, pogłaskał go po policzku i rzekł do niego:

— Nie wiesz, czym jesteś, chłopcze?

— Wiem, odrzekł Józef.

— A czemu nie mówisz?

— Bo się boję.

— Nie bój się, Józefku, nie bój. Mów śmiało, czym jesteś?

— Polakiem, odszepnął Józef i serce mu zabiło gwałtownie.

Ale dziwna rzecz, gdy wyznanie to uczynił, odstąpiła go trwoga. Co się stało, odstać się nie może; co prawda to nie grzech. I nagle uczuł w sercu błogość, że przyznał się do tego, czym jest. Wiedział on od ojca, jak to na Śląsku często polscy ludzie sami nie wiedzą, do jakiej narodowości należą i jak często jej się zapierają. Lecz ojciec uczył go, że nikt nie powinien się daru Bożego wstydić. Skoro go Bóg Polakiem stworzył, jakże się ma tego zapierać? Gdyby słowika zapytano, czy jest wróblem, a ptak ten mógłby odpowiedzieć, zaiste odpowiedziałby, że jest słowikiem, bo go Bóg słowikiem stworzył. A człowiek obdarzony rozumem i duszą, wyniesiony przez Stwórcę ponad wszelkie stworzenia, miałby się wstydić tej narodowości, którą mu sam Pan Bóg dał?!

Więc Józefek przypominając sobie słowa i przypomnienia nieboszczyka ojca, rad był, że wyznał prawdę i jakby obawiając się, że pan major nie dosłyszał, co cichutko przedtem wypowiedział, powóturzył słowniej:

— Jestem Polakiem!

— Lubię Polaków, odrzekł na to pan major, bo są dzielnymi żołnierzami i wiernie królowi służą. W wojnie z Austriakami bili się walecznie a gdyby znowu do wojny przyszło, znowu spełnią swój obowiązek. I ty będziesz dzielnym żołnierzem, gdy wyrośniesz, nieprawda?

— Jeżeli w wojsku będę służył, odpowiedział Józef, będę się starał być dobrym żołnierzem. Ale...

— No, co chciałeś powiedzieć?

— Ja nie wiem, czy będę żołnierzem, bo ja chciałbym zostać księdzem.

Pan major, sam wzorowy katolik, pogłaskał znowu Józefa po twarzy i dodał:

— A więc żołnierzem Chrystusa chcesz zostać? To dobrze, niech ci Bóg dopomaga.

Widocznie chłopiec spodobał się panu majorowi, bo zaczął go wypytywać o rodziców i braci. Chłopiec ośmielał się coraz bardziej, opowiadał coraz swobodniej i gdy stanęli przed pałacem pana barona, znał pan major całe życie Józefa, nie wyłączając niewoli cygańskiej.

Gdy powóz stanął, a służący otworzył drzwiczki, major wysiadł i rzekł do Józefa:

— Chodź ze mną, przedstawię cię mojej siostrze.

Gotlieb spojrzął z ukosa na pana majora, lecz nic nie powiedział.

Józef wszedł z panem majorem do przedsiionka pałacu i oniemiał z podziwu. Jeszcze nigdy nie widział tak pięknych rzeczy.

Wielka sieni, przepelniona krzewami i kwiatami zdawała się mu podobną do kościoła. Po ścianach wisiały rogi jelenie, w środku od posowy zwieszał się świecznik bardzo sztucznie z jelenich rogów: w złożony. Wśród zieleni widać było tu i owdzie białe posągi. Schody szerokie, marmurowe, pokrywał kobierzec tak gruby, że stopy lgnęły w nim i odgłosu kroków wsłuchać nie było. Ściany zdobiły malowidła przedstawiające przygody myśliwskie.

Służący otworzył drzwi do wielkiego pokoju, do którego weszli obaj z majorem. Jeśli w sieni wydawało się Józefowi wszystko wspaniałe, cóż dopiero w tym pokoju! Ściany zawieszono były pięknymi obrazami i zwierciadłami. W którą stronę Józef spojrzął, widział się w lustrach. Widok swojej własnej, skromnej i ubogiej postaci przyczyniał się do tego, że chłopiec stał się znowu nieśmiałym i lękał się prawie poruszyć, ażeby czego z tych pięknych i drogiej rzeczy nie potrącić.

Wtem otworzyły się drzwi do pokoju weszła pani baronowa. Była to wysoka, piękna pani, która wszedłszy miłym uśmiechem przywitała serdecznie brata.

Po słowach przywitania odezwał się major:

— Przywiozłem cię chłopca, który jak słyszę ma być towarzyszem waszego Alfreda. Przybliż się, Józefie.

Józef zapłonął się a te słowa i ze spuszczonej oczami postąpił kilka kroków kupani baronowej.

— To jest mały, poczciwy Polak, moja kochana, mówił pan major, i jeżeli takim jest, jakim się przedstawia, to sądzę, że wybraliście sobie do brego towarzysza dla syna.

— No, spojrzaj a mnie, chłopysiu, wyrzekła baronowa, podając mu rękę.

Józef podniósł swoje czarne oczy na nią, a ująwszy jej rękę, przycisnął ją do ust.

— Mój mąż opowiadał mi o tobie wiele dobrego. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz naszego zaufania i staniesz się nie tylko towarzyszem, ale przyjacielem mojego biednego Alfreda.

— Dla czego biednego? zapytał major.

— Ciągłe narzeka, że jest chorym i nie może się uczyć. Nie wiem, co się z nim stało, taki jest błądliwy i niecierpliwy.

— Grymasny powiedz raczej, moja droga, zawołał major. Przyznam ci się, kochana siostrze, że wasz chłopiec niepodoba mi się, bo zdaje się być upartym i niegrzecznym. Ty i twój mąż jesteście za dobrzy i słabi względem niego. Pozwalcie mu na wszystko, nie karcicie go należycie. Gdybym ja był jego ojcem, dodał podniesionym głosem, inaczej bym się wziął do niego, a ręce żebym mu wnet grymasy wypędził.

— Nie mów tak głośno, mój bracie, przerwała mu nagle baronowa. Mój drogi Alfred leży

tuż obok w pokoju i przed chwilą zasnął. Mów ciszej, ażeby się nie obudził.

Zaledwie te słowa wyrzekła, gdy nagle usłyszano krzyk z przyległego pokoju, a krótko potem wbiegł służący i zawołał przyciszonym głosem:

— Jaśnie pani, młody panicz gniewa się bardzo, że go zbudzono i chce koniecznie wiedzieć, kto sobie tu pozwala tak głośno mówić. Zarazem żąda, ażeby tego śmiałka surowo ukarać.

—Widzisz, coś narobił, rzekła baronowa z wyrzutem do majora, który jednak wcale się temu nie zmartwił, tylko głośno zawołał:

— Ha, ha, ha, widzę, że ten wasz kochany Alfred jest tutaj wszechwładnym panem domu. Wszyscy mu bodajże służycie. Śliczny synek!

W tej chwili z drugiego pokoju doszedł taki hałas, jakbo kto krzesła i stoły przewracał i szklanki tłukł, a za chwilę wbiegł młody chłopiec, na pół tylko ubrany, do pokoju. Był to młody baron. Mógł liczyć około 15 lat, lecz był nad wiek wysoki i bardzo ładny, z delikatną twarzą.

— Tak się obchodzicie z chorym? zakrzyknął Krzyczycie, gdy ja na śmierć chory, na chwilę się zdrzemnąłem.

— Ach, mój kochany Alfredzie... rzekła matka, to twój wuj...

— Tak to ja, mój chłopcze, odezwał się jakby umyślnie bardzo głośno pan major, to ja rozmawiałem z twoją matką o tobie. Tymczasem zaś myślę, że godzi się, ażebyś się zemną przywitał.

Alfred zbliżył się k uniemu i wyciągnął rękę.

— Przepraszam, nie poznałem wuja. Witam! W tej chwili odezwała się matka:

Alfred sporzął z góry na Józefa i zawołał:

— A tutaj patrz, oto towarzysz, o którym ci mówiłam, a którego powinieneś kochać, jak brata.

— Ja mam tego żebraka kochać jak brata?! Ha, ha, ha!

— Alfred! przerwała mu matka, widząc, jak Józefowi łzy z oczu trysnęły na słowa jej syna. Jakże możesz takie przykre słowa mówić o sierocie?! To jest syn poczciwych, choć ubogich rodziców, pilny i poczciwy. Nakazuję ci, ażebyś się z nim grzecznie obchodził.

— Co? Mama tak do mnie mówi, wrzasnął Alfred. Mama mnie gani przed obcymi ludźmi?! Poczekajcie, **pożalujecie tego!**

To powiedziawszy, poskoczył ku ścianie a zdjąwszy z gwoźdźca pistolet, zawołał:

— Zastrzele się, bo takiego postępowania nie zniosę!

— Alfredzie! krzyknęła matka, biegnąc ku niemu i padając na kolana.

Pan major, usunąwszy Józefa do sieni, przystąpił do siostry, podniósł ją z ziemi i odsunąwszy a bok, tak się do siostrzeńca odezwał:

— Zastrzel się, chłopcze! Taki człowiek jak ty, który zamiast pociechy tylko smutek i kłopot rodzicom sprawia, nie jest potrzebny na świecie co z ciebie będzie? Jeżeli tak dalej będziesz postępował, staniesz się hańbą dla rodziny, więc lepiej palnij sobie w łeb.

Alfred nie po raz pierwszy groził matce, że się zastrzeli. Wiedział on, że słaba ta niewiasta będzie go błagała ze łzami, ażeby rzucił pistolet.

Nie przewidział, że wuj jego, major, na komedję jego zupełnie inaczej się będzie zapatrywał.

— No, czemu nie strzelasz? mówił major. Czy czekasz, aż wszyscy upadniemy na kolana i będziemy cię prosili, ażebyś się życia nie pozbawiał? Co wam po takim życiu, które tylko utrapieniem jest dla innych?!

Alfred milczał zawstydzony a z dłoni wypadł mu pistolet. Wtedy major pochwycił go za rękę i zaprowadziwszy przed matkę, zakomenderował po wojskowemu:

— Głowę do góry!

Tu ręką podniósł mu głowę i rzekł:

— Patrz, patrz, jak najdłużej w to oblicze strapione twojej dobrej matki. Wiesz dla czego ona płacze? Dla ciebie; tyś sprawcą jej bólu i żalu

Łzy rodziców, którzy z powodu dzieci płakać muszą, nie giną; Bóg je zbiera i kiedyś ci je przypomni. Spadną one wtedy a ciebie, jak gorące krople pomsty **Bożej**.

Twarde musi mieć serce dziecko, co tak niewdzięcznie obchodzi się z rodzicami, którzy mu życie dali i wszystko. Chyba ty w piersi nie masz serca, lecz kawał lodu.

Zwierzęta umieją okazać wdzięczność swoim dobrodziejcom, a ty, człowieku z rozumem, tego nie potrafisz? Pies strzeże pana, który go żywi, a ty, wszystko mając z łaski rodziców jak sobie z nimi postępujesz?

Kto swoich rodziców nie kocha, i nie szanuje ten nie ma prawa, ażeby kiedyś własne dzieci jego samego czciły.

Przed chwilą obraziłeś owego biednego chłopca, który ma być twoim towarzyszem, nazywając go żebrakiem. Jest on rzeczywiście synem robotnika, ale czy sądzisz, że dla tej przyczyny masz prawo wyosić nad niego? O jest dobrym synem kochającym swoją matkę; jest grzecznym, choć nie potrafi tak pięknie się uklonić, jak ty; jest posłusznym dzieckiem i dla tego wszystkiego więcej wart, niż ty.

Młody baron nie był przyzwyczajony do takich słów. Serce jego nie było w gruncie rzeczy złe a główną przyczyną, dla której stał się tak nieznośnym, było to, że rodzice, a szczególnie matka za nadto mu ustępowała. Gdy ojciec niekiedy chciał za niegrzeczność chłopca ukarać, matka wypraszała go od kary. Chłopiec przywykł widzieć matkę uległą jego zachciankom i w ten sposób stało się, że matka prawie żadnej powagi u niego nie miała. Była niejako niewolniszą syna.

Alfred wzrastając w takich warunkach, był przekonania, że musi być więcej wart od innych skoro każde jego życzenie spełnianem bywa. Myślał on, że posiadając **wielki majątek**, nie ma potrzeby zważać na innych ludzi ani dbać o to, co ludzie o nim sądzą. Ta duma wyrodziła się w nim z czasem w pychę i upór.

Jest szlachetna duma w człowieku, która w tem się objawia, że człowiek, czując swoją wartość, nigdy się nie spodli i zawsze dobrym zostaje. Taka duma zasługuje na pochwałę, bo pochodzi z poczucia obowiązku i godności człowieka, a ludzie, którzy taką dumę mają, nie dopuszczają się nigdy niczego złego.

Lecz Alfred nie miał pojęcia o tem wniosłem uczuciu i uważał, że na tem polega jego godność ażeby zawsze swój awolę przeprowadzić. Środki używane przez niego do osiągnięcia tego celu były warte, co i sama duma. Skoro chciał na swoim postawić, a opierano mu się, wtedy krzyczał z całych sił i dokazywał. W takim razie zazwyczaj służący jego, Gotlieb, czynił to, co panicz chciał, albowiem był to marny człowiek, dbający jedynie o to, ażeby pochlebstwem i uniżonością łaskę młodego baronu sobie zaskarbić.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Drukiem druk. Dziennika Pomorskiego, Chojnice.
Redaktor dodatku: B. Nuszowski, Chojnice.
Wydawca Juljusz Schreiber, Chojnice.